Nr. 36. We Lwowie dnia 3. Września 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Zjazd archeologów w Kijowie.

(Wrażenia i uwagi.)

O XI. Zjeździe archeologicznym, który od kilkunastu dni obraduje w Kijowie, musieliście mieć wiadomości, chociażby w drodze pośredniej przez Warszawę. Nie mówiąc więc o rzeczach powszechnie znanych, chciałbym zwrócić uwagę na te momenty i szczegóły »zjazdu,« o których w prasie rosyjskiej i warszawskiej będzie głucho. Nawet o stronę naukową »zjazdu« nie będzie mi chodziło: o tem znajdzie każdy, kto będzie chciał, sporo wiadomości w »Biuletynach«, przez komitet »zjazdu« wydanych. O nauce rosyjskiej, w tym wypadku o rozległej umiejętności archeologicznej muszę wszakże powiedzieć, że przedstawia się nieźle: prace »zjazdu« wykazały wielki postęp w sposobie i metodach badania starożytności, zabytków rzeczowych i piśmiennych, odnoszących się do zamierzchłej i historycznej przeszłości kraju t. zw. południowo-zachodniego zarówno jak i całej Rosji. Nie brak nawet było kwestji ogólniejszych, związanych z życiem i przeszłością całej słowiańszczyzny. Mogliśmy skonstatować także, iż nauce rosyjskiej nie brak rzetelnych i zdolnych przedstawicieli, którym nieznane są poniżające cele uboczne — państwowe. Podziwialiśmy głęboką wiedzę takich ludzi, jak profesorowie kijowskiego uniwersytetu Wł. Antonowicz, Daszkiewicz, Gołubowskij, Zawitniewicz itp., słuchaliśmy z uznaniem bystrych wywodów petersburskiego slawisty, prof. Sobolewskiego, przyklaskiwaliśmy nawet śmiałym replikom prof. Milukowa itp. Wszystko to robiło dodatnie wrażenie, chociaż i do tego czasami jakieś niepotrzebne »hebesostwo« nieraz się przyczepiało. Oto parę przykładów: bardzo dzielny uczony kijowski, prof. Daszkiewicz, jednego dnia wygłasza znakomity odczyt »O pochodzeniu południowo-ruskiego kozactwa«, który zakończa lirycznem westchnieniem do straconej przeszłości i przytacza zdanie Mazepy: »Chciałem szczęścia ojczyzny mojej; los wszakże zrządził inaczej... na niewiadomy koniec»... (To ostatnie podkreśla sz. prof.). Nazajutrz ten sam prof. D. ma odczyt, gdzie tak samo rzewnie mówi o faktach, świadczących, iż Ruś południową oddawna łączyły braterskie stosunki z Rusią północną etc..., tak samo roznamiętnia się do tej idei, jak poprzednio do »straconej przeszłości« kozackiej i z patrjoty małoruskiego, robi się »człowiekiem państwowym«... Z politowaniem także patrzyliśmy na głupkowate wywody prof. Iłowajskiego, tego »uczonego«, który sfałszowanymi podręcznikami zatruwał i zatruwa umysły młodzieży szkolnej, a w rzeczach istotnej nauki jest tak ciemnym, jak np. ów biskup humański (Sergjusz), który »zjazdowi« błogosławił, pouczając go przytem, żeby się nie zanadto oddawał archeologji »fałszywej« — naturalnie chrześcijańskiej... Jedno i drugie, nauki duchownego, jak i »poglądy« naukowe rosyjskiego Treitschkego robiły wrażenie dziwnie przygnębiającego barbarzyństwa, jakiegoś ponurego bizantynizmu, który swoim »ideałom« państwowym pragnie podporządkować wszelką myśl, tłumiąc czarnym płaszczem wszelkie światło.

Wprawdzie odgrzebana przez prof. Iłowajskiego przestarzała teorja, utożsamiająca Słowian z Sarmatami, została przez większość uczonych przyjęta wprost jawnym śmiechem i dowcipnie wydrwiona przez prof. Milukowa, mimo to wszakże występy podobne, robione w dodatku w sposób pompatycznie-policyjny, miały w sobie coś, co urąga najświętszym prawom myśli, czując za sobą »prawo« pięści i opiekę... żandarma. Przykro jest spotykać się z czemś podobnem na zebraniach ludzi nauki, ale są rzeczy o wiele przykrzejsze i bezecniejsze i o tych właściwie chcę mówić. Mam tu głównie na względzie zachowywanie się delegatów czeskich, a także rozmaite zwroty, do nas skierowane.

Wiadomo wam, że żadna instytucja naukowa polska, z wyjątkiem krakowskiej Akademji nauk, delegata swego na zjazd kijowski nie wysłała. Delegat krakowski, Dr. Feliks Kopera, był bardzo opłakanym przedstawicielem nauki polskiej, mimo to wszakże »komitet« zjazdu, z prawdziwą kurtuazją go wyróżniał, co też czynił i względem paru innych uczonych polskich, którzy w prywatnym charakterze uczestniczyli w »zjeździe«. Uprzejmość jednakże i takt »komitetu« nie mogły nas uchronić od rozmaitych wprost wrogich nam wystąpień. Przytaczam fakt następujący: Warszawski uniwersytet wydelegował na »zjazd« dwóch profesorów »murawjewców« (tych, którzy posyłali adres do Wilna), pp. Filewicza, znanego »perekińczyka«, znienawidzonego od Rusinów, i p. Cwietajewa, kreaturę apuchtińską. Prof. Cwietajew wystąpił prowokacyjnie i grubijańsko z takiego powodu: jeden z referentów (p. Kamanin) mówił, bardzo przyzwoicie, »o ekspertyzie dawnych dokumentów sfałszowanych«, dowodząc konieczności ściślejszego badania wielu dokumentów archiwalnych. Referent tłumaczył, jaką drogą zwiększyła się ilość sfałszowanego materjału archiwalnego, odnosząc źródło złego do chwili, w której t. zw. »kraj zachodni« został przyłączony do cesarstwa. Wówczas to szlachta, zmuszona udowadniać prawa swoje do ziemi i szlachectwa, postawiona w warunki niekorzystne, uciekała się do fałszowania dowodów. Niepodobało się podobne usprawiedliwienie prof. Cwietajewowi, zaczął tedy uporczywie i wyniośle przekonywać zebranych, że dążność do fałszowania jest poniekąd wrodzoną mieszkańcom kraju »zachodniego« — przytem powoływał się na bezczelnie głupie fakty z historji stosunków polsko-rosyjskich. Niedość mu było jednakże tego, zaczął więc następnie dowodzić o »niewieżestwie« (ignorancji) Polaków w sprawach historji.

Wszystko to było bezprzykładnie nieprzyzwoitem i gdzie indziej spotkałoby się z protestem przewodniczącego. Tutaj oficjalnie nie powściągano prof. Cwietajewa, dodać wszakże trzeba, że znalazło się paru uczciwych i śmielszych ludzi wśród Rosjan, którzy replikami swojemi, wprost s p o l i c z k o w a l i zacietrzewionego »diejatiela«. Między innemi jeden oponent, z widoczną wzgardą w mowie i gestach, powiedział prof. C., że może dać spokój »krajowi zachodniemu,« dotychczas bowiem w Rosji ludzie fałszują dokumenty z rozmaitych powodów, powoływał się przytem i na »staroobriadców«, którzy zmuszani są uciekać się bardzo często do podobnych środków...

Prócz tego rodzaju grubych nieprzyzwoitości, spotykali się Polacy z drobniejszemi szykanami. Wprawdzie zasłużył sobie w zupełności na szykanę niejaki p. Wittyg z Warszawy, któremu chciało się mieć koniecznie na »zjeździe« referat w języku polskim, wówczas, gdy imię polskie o f i c j a l n i e nie powinno było być reprezentowane, nie mniej wszakże ostentacyjne opuszczanie sali przez »mężów nauki« rosyjskiej, w czasie odczytu p. W., należy uważać także za ordynarną niewłaściwość. (O p. Wittygu muszę dodać, że sam siebie wydelegował na »zjazd«, na którym rozbijał się jak szara gęś, rzekłbyś: co najmniej »specjalny« korespondent »Kraju«, co zresztą było niemożliwe, gdyż w tym charakterze występował p. Zamarajew [Ursyn]).

Nie rościmy sobie wprawdzie pretensji do szczególniejszych względów Rosjan, ale zwracamy uwagę na to, że zachowywanie się niektórych członków »zjazdu« było nieprzyzwoite, tembardziej, że język polski był dopuszczony do obrad, a instytucje naukowe polskie na »zjazd« zapraszane.

Najbardziej pouczającem dla nas było »bratanie« się Czechów z Rosjanami; właściwie »zjazd« był, że tak powiem, »balikiem« czesko-rosyjskim, na którym orgje sentymentalne wyprawiali Czesi, Rosjanie zaś przyjmowali objawy czułości »zachodnich« Słowian jako coś, co im się z wieku i z urzędu jaknajsłuszniej należało. Nic bardziej bezecnie-humorystycznego nie oglądaliśmy dotychczas! Możecie sobie wystawić, do jakiego stopnia liryzm dochodził, kiedy Czesi nie dość, że wszystkie referaty wygłaszali po rosyjsku, ale jeszcze »obyczajowo« starali się zbliżyć do swoich »potężnych« przyjaciół, naśladując ich sposoby zachowania. Byliśmy świadkami takich scen np.: prof. Sobolewski, dysputując z prof. Poliwką, nazywa go »Jurij Iwanowicz,« wówczas rozrzewniony »pobratymiec«, zaczyna na wszystkie strony sypać rozmaitymi: »Aleksiejami Pietrowiczami, Stepanowiczami etc.« najpewniej ku zdziwieniu ich wszystkich. Najwstrętniej wszakże wyglądało płaszczenie się delegatów czeskich wobec nauki rosyjskiej. Ludzie, którzy wspominali Szafarzyka, Palacky'ego itp., wciąż nas przekonywali, że nauka czeska w zakresie slawistyki wszystko zawdzięcza nauce rosyjskiej itp. Brak godności osobistej i trywialność posuwali Czesi do tego stopnia, że prof. Pietsch (przyjaciel prof. Filewicza) z humorem mówił z katedry, że całe Czechy nie większe są od jednej gubernji rosyjskiej, składając w ten sposób hołd potędze narodu rosyjskiego i potwierdzając argumenty pułk. Komarowa, który dowodzi, jak wiadomo, że język rosyjski »z natury rzeczy« jest ogólnosłowiańskim.

Podczas uczty wydanej na cześć wybitniejszych gości, prof. Czelakowski wygłosił entuzjastyczną mowę, dziękując imieniem czeskich uczonych za objawy braterstwa i serdeczności, jakich doznają od Rosjan. Było tu dużo wszelakich, kwiecistych i zdawkowych sentymentów, ale mowca poszedł za daleko i wyraził radość swoją, z tego powodu, że wpływy kultury wschodniej, którą utożsamiał z rosyjską, tak dobroczynnie działają na kulturę zachodnią, że wzmaganie się ich staje się co raz widoczniejszem. W tem jest zapowiedź szczęścia Słowian zachodnich etc.

To poniżające schlebianie snać wydało się nawet samemu prof. Czel. zbyt już paskudnem,

gdyż później zaczął się Polakom przymilać i jednego z nich zapytywał, »czy nie za wiele powiedział«. Oj, za wiele, p. Czelakowski! a przytem zbyt marnie i nędznie. Przypomnimy to sobie wówczas, gdy sentymenty czeskie w naszym kierunku zechcą znajdować ujście. Co na to powiedzą ci wszyscy, którzy byli ich świadkami podczas uroczystości Palacky'ego etc. Nie chcę oświetlać tych faktów, tak jak by się należało, ja tylko je konstatuję. Zaznaczony liryzm rosyjsko-czeski odbijał się nawet na rozprawach czysto naukowych.

Oto jeden z profesorów kijowskich porusza sprawę, »od jak dawna znaną jest obrona taborem«: rzucają się Czesi i zaczynają dowodzić, że to od wojen hussyckich (taboryci); mówią głupstwa, zaczynają egzaltować się nawet na wspomnienie przodków swoich walczących za wolność (po mowie prof. Czel. było to zbytecznem), niektórzy Rosjanie im przyklaskują, aż tu przenikliwy i cięty prof. Daszkiewicz jednem słowem zniszczył idyllę i liryzm obustronny powściągnął; prof. D. przekonał, że obrona »taborem« znaną była do wojen hussyckich, a powtóre, że słowo samo jest tiurkskiego pochodzenia.

Takich itp. scen więcej, moglibyśmy przytoczyć, dość wszakże i tych! Nie będę faktów podanych komentował: niech mówią za siebie. Winienem tu wszakże dodać, że inni Słowianie (Bułgarzy, Serbo - Chorwaci) zachowywali się o wiele przyzwoiciej od Czechów i w błazeństwa podobne się nie wdawali. Nadewszystko wszakże z godnością i taktem zachowywali się Małorusini kijowscy, którzy w szopki ogólno-słowiańskie wcale się nie bawili, unikali wiwatów i entuzjazmów »wszechsłowiańskich«, wówczas gdy najświętsze prawa Słowian są deptane i poniewierane przez brutalną stopę moskiewską.

Stary przyjaciel.

GASZONE ŚWIATŁO*).

W każdem społeczeństwie, nawet najbardziej oświeconem, znajdują się jednostki, które na podobieństwo nocnych stworzeń, nawykłych do ciemności, nie znoszą światła i najmniejszy jego przebłysk witają piskiem i krzykiem, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, jakiem zagraża światu tlejąca iskierka. Są to istoty, których mózgi, zakrzepłe w przesądach i uprzedzeniach, zatraciły, jeżeli wogóle miały ją kiedy, zdolność myślenia i nie mogąc przystosować się do nowych zagadnień czasu, upatrują w każdym nowym pomyśle, w każdym kierunku badania, którego nie rozważają, groźne zarzewie, mogące obrócić w perzynę cały porządek świata. Zwykłem ich hasłem bywa obraza religji i zasad moralności, jakkolwiek pod tem hasłem kryją się nieraz pobudki mniej bezinteresowne, jak o tem świadczą dobierane przez nich w celach agitacyjnych środki i środeczki, któremiby nie wzgardził żaden intrygant, którychby się nie powstydziła żadna dewotka, roznosząca najpotworniejsze plotki — w imię miłości bliźniego.

Jeżeli gdzie, to w naszej błogosławionej Galicji, zostającej na łasce i niełasce stańczyków, którzy mają na swe usługi kler i biurokrację, aż się roi od tego rodzaju indywiduów. Pomijając ludzi dobrej wiary ale ciasnej głowy, nie mogących pojąć, że innem jest zadanie religji, a innem wiedza, należą do nich przeważnie jednostki wykolejone, zawiedzione w swych rachubach i szukające powetowania swych niepowodzeń na drodze protekcji, albo też prości handlarze sumienia, zaprzedający je temu, kto da najwięcej. Występują oni najczęściej z zamkniętą przyłbicą i natarłszy z nienacka, umieją w czas się cofnąć, gdy spostrzegą, że pora do zamachu źle była wybraną.

Przykład podobnej napaści — chybionej — mieliśmy niedawno we Lwowie. Pismo antysemickie *Obrona*, zamieściło artykuł nieznanego autora pod nagłówkiem: „Darwinizm na uniwersytecie lwowskim". Obrawszy za przedmiot swych pocisków prof. Nussbauma, zarzuca mu, że on, jako żyd, z umysłu krzewi zasady darwinizmu, wiedząc dobrze, że są one przeciwne dogmatom wiary chrześciańskiej — i przez to samo osłabia w młodzieży uczucie moralności, którego jedynem źródłem jest religja. Ze swem poparciem w tym kierunku pospieszył *Ruch katolicki*, zwracając uwagę, że jest na uniwersytecie lwowskim jeszcze ktoś drugi, co od dawniejszego już czasu prowadzi swe wykłady w duchu darwinowskim. Jest nim mianowicie prof. Dybowski, który bez żadnej ogródki utrzy-

*) Jest to ostatni, przed kilku tygodniami przysłany „Prawdzie" warszawskiej i świeżo tam wydrukowany artykuł zmarłego autora. *Red.*

muje, że rodzaj ludzki powstał tym samym porządkiem, co i każdy gatunek zwierzęcy, t. j. drogą naturalnego rozwoju.

Ta napaść na profesorów wywołała ze strony młodzieży uniwersyteckiej zbiorową manifestację, w której zaznaczyła swą cześć i wdzięczność dla swych przewodników na polu wiedzy.

W opisywanie przebiegu tej sprawy wdawać się nie myślę. Podnoszę tylko jeden jej szczegół, który zasługuje na to, aby się nad nim bliżej zastanowiono. Jest nim stanowisko, jakie wobec darwinizmu zajął *Ruch katolicki*, wydawany przez tutejszych jezuitów. Oświadcza on, że teorja ewolucyjna nie byłaby przeciwną zasadom religji, gdyby była dowiedzioną. Oświadczenie to nastręcza dwa pytania: naprzód jakiego rodzaju mają być dowody teorji ewolucyjnej, a następnie, czy w razie jej udowodnienia zostałaby ona uznaną przez jezuitów w całości, czy tylko w pewnym zakresie, z zastrzeżeniami, któreby całą jej doniosłość osłabiły? Co się tyczy drugiego pytania, to *Ruch katolicki* dostarcza nam na nie odpowiedzi wyraźnej, nie pozostawiającej najmniejszej wątpliwości co do jej znaczenia. Utrzymuje on stanowczo, że człowiek inny ma początek, niż wszystkie twory ziemskie, że między nim a zwierzęciem nie masz pod względem duchowym nic wspólnego, czego dowodem jest *rozumność i wolna wola* — przymioty, które są właściwe samemu tylko człowiekowi, a zgoła obce zwierzęciu.

Tego rodzaju dowody mogą wystarczyć *Ruchowi katolickiemu* i jego współpracownikowi, Błockiemu; nauka jednakże zadowolić się niemi nie może. Psychologja nas uczy, że ani „rozumność“ ani „wolna wola“ nie są samoistnemi władzami duszy, ale sprawami psychicznemi, składającemi się z licznych czynników, które i w duszy zwierzęcej dają się odnaleźć. Składowymi czynnikami *rozumności* są spotrzeżenia i wyobrażenia, których zwierzętom odmówić niepodobna, jak również niepodobna im odmówić zdolności sądzenia i wnioskowania chociażby w formie jak najprostszej. Co się zaś tyczy wolnej woli, to nauka rozumie przez nią względną wolność działania, polegającą na tem, że człowiek może wybierać między danemi pobudkami, ale w wyborze swym musi się opierać na wrodzonych lub wytworzonych przez wychowanie usposobieniach. Wolna wola w tem rozumieniu, w jakiem ją przyjmuje *Ruch katolicki*, jest fikcją. Nie jest ona jakimś podarkiem dla człowieka, ale osobistym jego dorobkiem. Człowiek o tyle tylko jest wolnym w swem działaniu, o ile sam wytworzył w swej duszy moc panowania nad sobą, o ile umie chwilowym pobudkom przeciwstawić trwałe, jakiemi są uczucia etyczne. Otóż jakkolwiek zwierzętom nie możemy przyznawać wolności działania w tym stopniu, w jakim ją posiadają ludzie, odmawiać im jej całkowicie niepodobna. I one, mając różne pobudki, wybierają tę, które najbardziej odpowiadają ich usposobieniom bądź naturalnym, bądź wytworzonym przez tresurę. Różnica więc między zwierzęciem a człowiekiem, pomimo całego jej ogromu, którego nikt zaprzeczać nie myśli, jest tylko względną, nie zaś bezwzględną — i bynajmniej nie sprzeciwia się wspólnemu ich początkowi. Kto więc gotów jest przyjąć teorję rozwojową w razie, gdy będzie dowiedzoną, ten musi ją przyjąć w całości bez żadnych ograniczeń. Wspólność natury ze zwierzęcą tak pod względem duchowym, jak i cielesnym, jest faktem naukowo stwierdzonym i nikt już dzisiaj o tem powątpiewać nie może.

Pozostaje więc pytanie: czy mamy prawo uważać teorję rozwojową za dowiedzioną, a jeśli nie, to jakie mają być dowody, któreby zdołały wykazać jej prawdziwość?

Gdyby ktoś zażądał dostarczenia sobie dowodów prawdziwości teorji Kopernika, niezawodnie że odesłanoby go do astronomji, w którejby mógł się sam przekonać, że fakty, wykazujące zasadność owej teorji, nie mogą być inaczej rozumiane, tylko tak, jak je nasz astronom pojął i wytłómaczył. Każda teorja w sobie samej zawiera dowody swej prawdziwości. Szukać ich po za nią, jest to nie pojmować jej istoty. Stanowi ona tylko wyjaśnienie faktów, ich powiązanie w pewną całość na podstawie zasady, która w nich samych najwyraźniej uwidocznia się. Jako wyraz współczesnej wiedzy, wartość jej naukowa zależy od tego, czy zgadza się ona w swych podstawach z ustalonemi zasadami wiedzy, czy czyni zadość warunkom naszego poznania, czy nareszcie w swych wyjaśnieniach nie ucieka się do urojeń, niedających się dowieść. Jeżeli teorja jest koniecznym wnioskiem indukcyjnym, uogólnieniem faktów dokładnie zbadanych, jeżeli coraz to nowe fakty z biegiem czasu poznawane nietylko że jej nie przeczą, lecz ją stwierdzają, jeżeli przytem posługuje się w swych wyjaśnieniach czynnikami rzeczywistymi: spełnia ona jak najściślej swe zadanie, chociażby na razie nie umiała dać odpowiedzi na niektóre pytania, do jej zakresu należące.

Wszystkim tym wymaganiom czyni zadość teorja rozwojowa. W jej podstawie leży taki ogrom faktów, jakim żadna inna poszczycić się nie może i jak dotąd badania biologiczne nie natrafiły ani na jeden fakt, któryby z jej głównem założeniem stawał w sprzeczności

Zadaniem jej jest wytłumaczenie w drodze naturalnej powstawania gatunków w świecie organicznym i wykazanie ich pokrewieństwa. Opiera się ona w swych wywodach na faktach, jakich jej dostarczają: zoologja, antropologja, paleontologja, anatomja porównawcza, embrjo-

logja, fizjologja, a do pewnego stopnia i psychologja porównawcza, które wykazują z jednej strony wspólność budowy organizmów i następcze pojawianie się coraz to wyższych typów, z drugiej — tożsamość spraw życiowych, polegających na asymilacji, a jak u zwierząt — i tożsamość spraw psychicznych. W swych wyjaśnieniach posługuje się ona czynnikami rzeczywistymi, jakimi są: dobór naturalny, przystosowywanie się organizmów do otoczenia i dziedziczność, których najzaciętszy przeciwnik teorji rozwojowej zaprzeczyć nie może, gdyż są faktami doświadczenia codziennego. Że w przemianie gatunków czynniki te odgrywają główną rolę, wykazuje to dowodnie hodowla zwierząt i roślin — polegająca przeważnie na doborze sztucznym i na wytwarzaniu sztucznych warunków dla ich odżywiania.

W szczegółowych swych wyjaśnieniach chybia ona pod wielu względami, bądź dlatego, że odnośne fakty nie są jeszcze należycie poznane, bądź dlatego, że nie wszystkie jeszcze czynniki, biorące udział w sprawie rozwojowej, zostały wykryte. Nie osłabia to jednakże jej znaczenia. Jako konieczny wynik współczesnej wiedzy, musi ona być uznaną w swem założeniu za prawdziwą. Ma zresztą za sobą nietylko dowody faktyczne, ale i racjonalne. Dostarcza ich naczelna zasada naszej wiedzy współczesnej: niezniszczalności materji i energji. Skoro ilość materji i energji pozostaje zawsze stała i równa sobie tak, że nic w niej ani ubyć, ani też coś do niej przybyć nie może, w takim razie wszelkie formy bytu, których nieskończona rozmaitość stanowi świat nasz widomy, mogły powstać tylko drogą przemiany.

Władysław Kozłowski.

(Lwów).

7)

Gdy lipy kwitły.

Dróżką biegła Wala, leciała raczej, ziemi prawie nie dotykając. W białej, przykrótkiej spodniczce, która nie osłaniała bosych stóp, w narzuconem rannem okryciu, którego szerokie rękawy jak dwa skrzydła białe leciały z ramion w powietrze, nadbiegła tak prędko, że nie zdołał usunąć się z drogi. Znalazłszy go niespodzianie przed sobą, stanęła jak wryta. Widać było, że jest tylko nawpół przytomną. Twarz jej mimo różowej łuny bledsza niż zwykle, jak w obłoku tonęła w pierścionkach bujnych włosów; pobladłemi ustami, współotwartemi, łapała z trudem powietrze; nie mogła słowa przemówić i tylko przerażone oczy z szeroko otwartych rzęs czarnych w twarz jego wbijała.

— Uspokój się, pani — zawołał żywo Gromski — to tylko odrynka się pali. Niebezpieczeństwa niema; proszę, uspokój się!

Wyciągnął ręce, chcąc w dalszym biegu ją powstrzymać; ona chwilę patrzyła, usiłując zrozumieć, co mówi, a potem drżeć zaczęła, chwyciła się jego ręki i zupełnie bezwiednym ruchem, jak dziecko strwożone, pogarnęła się cała ku niemu.

— Tak się zlękłam, tak się zlękłam... — szeptała drżącemi ustami, ściskając rękę jego w zimnych swych jak lód dłoniach.

Gromskiego gdzieś aż do głębi duszy dotknął ten jej przestrach.

— Pocóż się tak przerażać! Tak nie można, to może zaszkodzić, — strofował ją, sam nad nią strwożony a w głosie mu dźwięczała ogromnie miękka pieszczota. Pochylił się nad jej głową, którą miał tuż u swego ramienia, tylko płowym obłokiem włosów oddzieloną; i począł drżeć silniej jeszcze niż ona.

Jak zjawisko w ciemnościach nocy zleciała ku niemu, a teraz tuli się do jego ramienia z taką ufnością jak dziecię, z iście niewieścią, miękką, cichą prośbą, opieki jego szukając. Patrzył na nią i owładnął nim poryw jak szał, jak burza. Gotów był porwać ją w ramiona, ukryć na piersiach i gorącemi ustami roztopić do reszty ten lód, w który przed nim zbroiła się wiecznie; lecz równocześnie doznawał wrażenia, iż ramienia jego dotyka taka jasność i taka świętość, że raczej klęknąłby u jej stóp i fałdów jej sukni dotknąćby się ustami nie ważył.

Więc mimo, że słowa gwałtownym potokiem na usta mu się cisnęły, milczał i patrzał tylko, oczyma, co czczą i kochają bez granic.

A musiały te oczy powiedzieć dużo, bo nagle drgnęła, usunęła się od niego, spojrzała na obnażone swe ręce i niezwykły ubiór, oblała się cała rumieńcem i jak ptak spłoszony i uciekać zaczęła.

On stał i patrzał, jak ginęła mu z przed oczu w ciemnościach; serce mu biło, krew tę-

tniała w skroniach i nie mógłby powiedzieć, prawda to czy sen?

Czy sen, czy prawda, w każdym razie takiej to było natury, że już o śnie tej nocy nie myślał. Pożar zgasł prędko; jak stóg siana spłonęła odrynka; w godzinę wszyscy wrócili do domu, on także z pożarem w sercu we stokroć silniejszym. Już się nie kładł, a przewałęsał się po ogrodzie i polach, i zaledwo około szóstej, gdy ludzie na robotę wyszli, wrócił zroszony, zmęczony i z głową w ogniu rzucił się na łożko, na parę godzin twardego, kamiennego snu.

Zaledwo Wala nazajutrz oczy otwarła, w pamięci jej stanął, jak żywy, obraz z ubiegłej nocy. Porwała się przerażona, jakby widmo przed sobą ujrzała; lecz zaraz śmiech pusty ją porwał i zarumieniona cała, po dziecinnemu głową w poduszki padła. A potem całe rano czuła się zmieszana, niespokojna i tak wstrząśnięta, jak woda, na którą nagle grom i słońce padną. Bała się, aby kto tego nie spostrzegł, przedewszystkiem siostry, bo zaraz wzięłyby ją na indagację. Wysilała się na największy pozór spokoju i powagi, ale to jej nie szło. Gromskiemu wprost w oczy spojrzeć nie śmiała i unikała go jak mogła.

Potem jednak zaczęła rozmyślać, że takie chowanie się jest niedorzeczne i wprost dziecinne, że wreszcie nic takiego nie zaszło i nic się nie zmieniło, i właśnie jednostajnem postępowaniem powinna dać mu do zrozumienia, że ten mały wypadek nie ma żadnego znaczenia. Bo i naprawdę nie zmieniło się nic.

Przekonywała siebie, lecz w głębi duszy czuła, że zmieniło się wszystko. I wkrótce coraz wyraźniej dostrzegać to zaczęła. Gromski wprawdzie milczał, lecz Wala zbyt czujną miała duszę i zbyt bacznie zwróconą uwagę, aby nie odczuć, iż w milczeniu tem kryły się rzeczy niezwykłe. Zmieniał się zresztą tak widocznie, że i inni nie zauważyć tego nie mogli. Znać było, że przebywa jakąś silną walkę, że mocuje się z czemś, co jest silniejsze od woli jego, a nawet i sił. Wala znajdywała go coraz częściej przy sobie i prędko zauważyć mogła, że nieraz jedno jej słowo, jeden uśmiech, lub chłodny ukłon stanowią o całym jego dniu. Bywał chmurny, jak burza i brwi mu się ściągały głęboką bruzdą nad gorejącemi oczyma, to znowu wyraz znużenia i ostatecznego wyczerpania pokrywał blade rysy, że aż Wala trwożyła się nie na żarty, czy nie choroba jaka doń się zbliża. A kiedy sama poruszona do głębi miała dla niego uśmiech i jakieś słówko szczere on się mienił cały, jaśniał szczęściem i tak miękkiem ogarniał ją spojrzeniem, że znów musiała dobrze trzymać się na wodzy, aby nie dać powodu do podobnych wzruszeń. Nachodził nieraz ją z nienacka, gdy była samą i wówczas miał wyraźnie jakieś słowo na ustach; lecz wprzód mierzył ją badawczo oczyma, jakby duszę jej chciał na wskróś przejrzeć. Przez czas jakiś umiała zawsze znaleść coś takiego, co odwracało rozmowę na najdalsze rzeczy; przez to jednak ani wyrównał się ich stosunek, ani na dawniejsze tory zeszedł, a męka wzajemna wzrastała. Postanowiła zatem rozstrzygnąć rzecz stanowczo i raz na zawsze. Starannie, a głęboko się zastanawiając obmyślała odpowiedź, jaką mu dać powinna.

Była chwila, że Gromski postanowił wyjechać i powiedział o tem stanowczo. Czytała wówczas jakąś książkę i widział, że pochylona jej twarz pod światło lampy nie drgnęła najmniejszem wzruszeniem. W tej chwili pewnym był zupełnie czego spodziewać się może i pożałował, że zamiast mówić o odjeździe, dziś go nie dopełnił i to tej chwili. Lecz kiedy nazajutrz zastał ją przy śniadaniu, jeden rzut oka na jej twarzyczkę, powiedział mu, że ma duszę wstrząśniętą, że może połowę nocy nie spała i jest strwożona i taka przybita, że aż żal patrzeć na nią.

Wyrzucał jej wówczas w myśli dlaczego jest tak dziwną, że nie da sobie słowa szczerego powiedzieć, i taką nieuchwytną, że koniec końcem niczego nie jest pewnym i nie wie, co ma go spotkać. Zachowaniem się aż nadto wyraźnie daje mu poznać, że obcy są sobie i takimi pozostać muszą, i gdyby raz był o tem z pewnością przekonany jużby tu w Ostroszczytach i ślad o nim zaginął. Lecz wszakże nadchodzą chwile — na Boga, nadchodzą niemylnie! — kiedy z pod tej chłodnej maski wymknie się dusza kobieca, głęboka, czuła i płomienista, i nim tylko pełna, nim! Zanadto znał kobiety, aby mógł mylić się pod tym względem. Cóż więc znaczył ten chłód jej potem i to wymykanie mu się ciągłe? Rodzinę całą miałby za sobą, o tem był przekonany; cóż więc to było, co wiecznie jak bryła lodu stało między nimi?

Skądinąd napadały i na niego czasem wątpliwości, lecz te było innej natury. Że ukochaną mu jest nad wszystko, co miał dotąd na ziemi, o tem nie wątpił wcale i wiedział również, że nie obojętną mu była od pierwszej chwili, a tylko małe owo zdarzenie w noc pożaru nadało pęd i rozkwit potężnemu uczuciu. Lecz myślał niekiedy, że on, który tyle przeżył i z tylu mętów pił, nie jest godzien tej czystej, podniosłej duszy dziewiczej. Może sięgając po nią, popełniłby świętokradctwo, lub gorzej — zbrodnię straszniejszą — możeby zatrutą, znoszoną szatą swego ducha zakaził jej przeczystą duszę. I wówczas napadała go rozpacz bez granic i myślał — jak kiedyś, na Wschodzie — że wszystko dla niego jest skończonem i faktycznie skończyć się powinno, bo on sam w sobie, w rdzeniu swojej duszy nosi śmierć.

A później znowu nadchodziły chwile, gdzie mu ta jasna postać kobieca stawała w oczach jak ochronicielka i źródło uzdrowienia; i wtenczas w myśli ręce do niej wyciągał i wołał ku niej całem skatowanem jestestwem swojem. Kiedy widział ją przychylniejszą dla siebie, żywa jego wyobraźnia malowała bogatym pędzlem obrazy jasnej przyszłości; i już z tego widma jednego brał siłę

i moc uzdrowienia, stawał się młodszy duchem, lepszy, wyrozumialszy i serce jego było bogatszem. Ale chwile takie bywały rzadkie.

W pewien pogodny ranek po nocy nawpół bezsennej, kiedy go ta walka wewnętrzna znużyła ostatecznie, wstał wcześniej niż zwykle i korzystając z ogólnej ciszy domu i ogrodu, zaczął obchodzić aleje. Wilgotne jeszcze były i chłodnawe i pod gęstwiną swych liści posiadały dziwną ciszę, która działała jak balsam.

Słońce nie gorące jeszcze a lipcowo jasne, snuło gdzieniegdzie zielonawe światła; czasem tuż przed nim przemknął w ciszy motyl, czasem po ziołach przydrożnych pilnie brzęczały pszczoły, a po obu stronach alei rozciągały się pasma kwiecistych, uperlonych rosą trawników jaśniejących w rannem słońcu, pełnych woni i życia jak kobierce szczęścia, o których bajki prawią. Lekko było, promiennie i wonno na świecie — a tylko człowiek nosi w sobie ciemny ciężar niedoli, nieodwołalny wyrok swoich czynów, i on jedynie wyrzucony jest z dziedziny światła i rozkoszy bytu.

Gromski chodził długo, pragnąc fizycznem zmęczeniem przemódz mękę wewnętrzną. a mimo jego wiedzy czar natury działał, stawało mu się w myślach spokojniej i jaśniej, i uciszał się myślą.

(C. d. n.)

Wanda Dalecka.

Szkice z nad Niewiaży.

4)

II.

Śród gromu armat sprzymierzeńców, klęsk wojskowych i bardzo dotkliwych upokorzeń państwowych i osobistych zgasł 2. marca (18. lutego) 1855 r. Mikołaj I. W ciężkich warunkach objął po nim tron syn jego, Aleksander II., człowiek o usposobieniu niewątpliwie łagodnem i pojednawczem, umysłowo wykształcony i światły, ale bez charakteru prawie i słabej woli; ulegał on też łatwo wpływom bardzo różnym niekiedy; dość tu wspomnieć wpływy t. z. starorosyjskiej partji po wypadkach 1863 — 1864 r., które na razie tylko spaczyły przedsięwzięte reformy, a później obniżyły znacznie ich doniosłość, oraz wpływ hr. Loris-Melikowa, ks. Dołgorukowej i ich stronników, który zapowiadał gruntowne przekształcenie stosunków polityczno-społecznych. Przedwczesna śmierć z ręki królobójców, kierowanych najskrajniejszemi rewolucyjnemi teorjami, położyła kres tym nadziejom. Nastąpiła surowa, dzika reakcja, której społeczeństwo rosyjskie uległo z wielką łatwością i niemal ochotą, co wymownie świadczy, jak były słabe i nierozwinięte pierwiastki i idee kultury zachodniej. Dalszy proces przekształcenia się, którego rezultat — wszechwładztwo biurokracji — skreślę potem, tu zaś nadmienię tylko, że zmiana to nie na lepsze, lecz na gorsze, zwłaszcza dla nas. Teraz wracam do rzeczy. Wstąpienie na tron Aleksandra II. było ożywczym przeciągiem wiatru, który przebiegł kraj cały; ludność odetchnęła nieco swobodniej. Wszyscy wyczekiwali końca walki; nareszcie stanął traktat paryski z r. 1856, który zakończył wojnę wschodnią. Cesarstwo rosyjskie poniosło ciężkie straty polityczne, a jeszcze większe moralne i urok siły i potęgi, który otaczał carów, znikł zupełnie, ale jednocześnie rząd przyszedł do wniosku, że gruntowne reformy społeczne są niezbędne i konieczne. Nim jednak przystąpiono do nich, Aleksander II. pospieszył ogłosić akt łaski: prawie wszyscy emigranci polityczni mogli wrócić do kraju, wszystkich skazańców politycznych uwolniono itd. Jednocześnie też ogłoszono akt łaski dla kryminalistów, łagodząc kary lub uwalniając nawet zupełnie. Udzielono też sporo ulg literaturze i prasie; powiało nieco swobodniejszym duchem, bo pozwolono rozprawiać nawet o kwestjach społecznych i krytykować działalność władzy. W tych ulgach kryje się początek t. z. literatury wykazującej (obliczitielnoj litieratury), która miała kilka lat powodzenia. Zwiedzając Wilno, Aleksander przywrócił wykłady języka polskiego we wszystkich szkołach okręgu wileńskiego naukowego, bo ta nazwa z jego rozkazu została mu przywróconą.*) Nastąpił też cały szereg ulg innych, acz drobnych, wszakże zapowiadających nieco lepszą przyszłość: do Wilna zamianowano wielkorządcą generała Nazimowa, człowieka światłego i dobrego; w Kownie gubernatorem został Stanisław Chomiński, polak prawdziwy i dobry patrjota. Przywrócono hierarchję duchowną, katolicką, zdjęto nadzór policyjny z księży, usunięto ograniczenia, krępujące władzę biskupów... W ogóle zapatrywano się bardzo spokojnie i chętnie na udział duchowieństwa w życiu publicznem, zwłaszcza w zakresie podniesienia i umoralnienia ludu. Na Żmudzi administracja szczerze i gorliwie popierała parafjalne towarzystwa wstrzemięźliwości, zakładane przez ks. proboszczów z rozkazu czcigodnej pamięci biskupa

*) W r. 1832 z rozkazu Mikołaja nazwa wileński okręg naukowy została zastąpiona nazwą białoruski okręg naukowy.

Wołonczewskiego, gorliwego patrjoty i pisarza ludowego, prawdziwego ludowca, jak byśmy go dziś nazwali; dość wymienić, że tylko w 3 powiatach, Rosieńskim, Telszewskim i Szawelskim, do nich należało przeszło 100.000 włościan.

Nie mniej życzliwą okazywała się administracja i dla inicjatywy prywatnej i dla polskości wogóle; sam pan gubernator na sejmiku gubernialnym szlacheckim w Kownie przemawiał po polsku. Ten język faktycznie stał się wówczas urzędowym, bo w nim załatwiano wszelkie czynności, spisując w języku urzędowym tylko protokoły i wyroki sądowe, słowem dokumenty oficjalne. Car kazał, uwzględniając podanie szlachty, szkoły szlacheckie w Poniewieżu i Kiejdanach przekształcić na gimnazja; w r. 1860 otwarto w Telszach gimnazjum niższe; w tym też roku pierwszą żeńską szkołę rządową, otwartą w r. 1858, przekształcono na gimnazjum żeńskie, by podnieść ją i zjednać zaufanie śród inteligencji. Jeden tylko zgrzyt fałszywy dał się słyszeć w czasie pobytu Aleksandra II. w Wilnie, gdy Odyniec, Akielewicz i Kirkor wystąpili ze zbiorkiem hymnów litewskich, co najmniej niewłaściwych, za co ich napiętnował żelazem rozpalonem, acz zbyt surowo, sławny Julian Klaczko w swym rozgłośnym pamflecie »Odstępcy«. Ale najważniejsza kwestja owej chwili, kwestja usamowolnienia włościan, znalazła się w naszym ręku. Aleksander w czasie koronacji wzywał marszałków szlachty rosyjskiej do inicjatywy, przekonywując ich o konieczności usamowolnienia włościan oraz o tem, »że lepiej reformę przeprowadzić z góry, niż czekać czasu gdy odmieni się z dołu«, ale rady te odbiły się jak groch o ścianę. Natomiast trafiły one w uszy marszałków szlachty litewskiej; po powrocie z koronacji do kraju porozumieli się z wybitniejszymi przedstawicielami ziemiaństwa i w ogóle inteligencji oraz złożyli oświadczenie w formie adresu do tronu z wyrażeniem pragnienia i życzenia zniesienia poddaństwa i gotowości do ofiar na ten cel w myśl podania szlachty litewskiej z r. 1818; myśl była bardzo rozumna, patrjotyczna, a bardzo świetnie wykonana. Adres trafił w porę: odpowiedzią nań był znakomity reskrypt carski do wielkorządcy wileńskiego z dnia 2. grudnia (20. listopada) 1857 r. W tym reskrypcie car gorąco dziękuje szlachcie litewskiej za jej śmiałą, a szlachetną inicjatywę, zgadza się na usamowolnienie włościan i poleca szlachcie samej wypracować projekt reformy, określając bliżej warunki jego opracowania. (C. d. n.)

J. Syrokomla.

Z pism i książek.

Edward Bogusławski. Historja Słowian. Tom II. Kraków-Warszawa. Czcionkami drukarni W. Korneckiego w Krakowie 1899.

Przed 10 laty ukazał się tom 1-szy „Historji Słowian" Bogusławskiego, o którym pisze autor że „był przyjęty życzliwie przez jednych krytyków, nieżyczliwie i lekceważąco przez innych". W istocie rzeczy „życzliwe" przyjęcie spotkało p. Bogusławskiego ze strony pisarzy rosyjskich, a i to nie wielu stosunkowo. Ta względna „życzliwość" była całkiem zrozumiałą, jeżeli zważymy, że p. Bogusławski w konkluzji 1. tomu „Historji Słowian" pisze: „Panowanie Rosji w Polsce jest zrozumiałe, konieczne dla samej Polski i dla idei słowiańskiej" etc. Jestto konkluzja — jak widzimy — *par excellence* natury politycznej, a czytając „Historję Słowian" tom I., musimy co krok zastanawiać się, o co właściwie autorowi chodzi — czy o objektywną naukę historyczną — czy o jego polityczną, u g o d o w ą konkluzję.

Nic dziwnego, że ludzie nauki wyrażali się o „Historji" p. Bogusławskiego „z lekceważeniem". Jedno bowiem z dwojga wybrać należało, albo mógł p. Bogusławski napisać — jak zatytułował swoją pracę „Historję Słowian", albo rozprawę o konieczności ugody Polski (względnie Polaków) z Rosją. Zmięszać jedno z drugiem znaczyło tyle, co pozbyć się objektywnego traktowania przedmiotu pod względem naukowym i natomiast przystosować wiedzę do tendencji politycznej. Tak przedstawiał się I-szy tom „Historji" p. Bogusławskiego i z taką też w ogólności spotkał się oceną.

W tomie II. dążeniem autora jest wykazanie względnego a u t o c h t o n i z m u Słowian w stronach wschodniej i południowo wschodniej Europy aż po Łabę i Adrjatyk. O ile jednak w I. tomie dążył autor do tego celu na podstawie etymologicznej i spotkał się z ostrą krytyką, o tyle przeciwnie w tomie II. — nic sobie z krytyków nie robi, swoją hypotezę etymologiczną przyjmuje za fakt udowodniony i . . . . . n i e p i s z e w c a l e „H i s t o r j i S ł o w i a n". Cóż więc daje nam II. tom „Historji Słowian", obejmujący 516 stron druku? Wielką część trzeba odliczyć na balast naukowy t. j. cytaty, uwagi i spis źródeł. Są n. p. stronnice, obejmujące 5 — 10 wierszy tekstu — a resztę zajmują noty z cytatami. Treść właściwego tekstu jest k r o n i k ą (n i e h i s t o r j ą) w ę d r ó w k i n a r o d ó w, a że przy sposobności wypadało autorowi tu i ówdzie natknąć się na Słowian — to już tylko rzecz przypadkowa. Dopiero od rozdziału XIII. zaczyna p. Bogusławski n i e c o więcej pisać o „Historji Słowian", a mianowicie o historji wyłonienia się pierwszych państw słowiańskich po wędrówce narodów. W tej sprawie powtórzył w suchem, faktami zbędnymi naszpikowanem zestawieniu wszystko to, co powiedziano już przed nim ściślej i w związku pragmatycznym. Dzisiaj, gdy pośród historyków widzimy silny zwrot do socjologicznego traktowania dziejów — kronika wędrówki narodów, zwana II. tomem „Historji Słowian" p. Bogusławskiego — może co najwyżej być uważaną za pracowite zestawienie faktów i cytatów, z których może ktoś kiedyś czerpać będzie. Czerpać co prawda — jest z czego, albowiem autor jest skrupulatnym nawet w zestawieniu faktów, odnoszących się do „niskiego" lub „wysokiego" pochodzenia cesarzów rzymskich.

Dr. K. I. Gorzycki.

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.